

### 3

Harry się obudził. Coś było nie tak. Wiedział, że wkrótce przypomni sobie co, a tych kilka błogosławionych sekund nieświadomości to wszystko, na co może liczyć, zanim rąbnie go zaciśnięta pięść rzeczywistości. Otworzył oczy i natychmiast tego pożałował. Poczul się tak, jakby światło dzienne, przenikające przez brudną szybę w oknie i oświetlające nieduży pusty pokój, bez przeszkód kontynuowało swoją drogę aż do pulsującego punktu gdzieś za jego oczami. Poszukał schronienia w ciemności pod powiekami i zdążył jeszcze pomyśleć, że coś mu się śniło. Rakel, oczywiście. A zaczęło się od tego samego snu, który śnił mu się tyle razy wcześniej. O poranku przed tak wieloma laty, wkrótce po tym, jak się poznali. Leżała z głową na jego piersi, a on spytał, czy sprawdziła, że on naprawdę nie ma serca, tak jak mówili ludzie. Rakel roześmiała się wtedy tym swoim śmiechem, który kochał tak bardzo, że był gotów na największą głupotę, byle tylko go z niej wydobyć. Potem podniosła głowę, popatrzyła na niego ciepłymi piwnymi oczami, odziedziczonymi po matce Austriaczce, i odpowiedziała, że owszem, ludzie mają rację, ale ona odda mu pół swojego. I tak zrobiła. A serce Rakel było tak duże, że wpompowało krew w jego ciało, rozmroziło je, uczyniło z niego na powrót prawdziwego człowieka. I męża. A także ojca Olega, tego zamkniętego w sobie, poważnego chłopca,

którego Harry z czasem pokochał jak rodzzonego syna. Harry był szczęśliwy. I śmiertelnie się bał. Szczęśliwie nieświadomy, co może się stać, lecz nieszczęśliwie świadomy, że do czegoś dojdzie, że nie został stworzony do tak wielkiego szczęścia. Śmiertelnie się bał, że straci Rakel. Bo jedna połówka serca nie mogła bić bez drugiej. Wiedział o tym, wiedziała też Rakel. Skoro więc nie mógł żyć bez jej serca, to dlaczego w tym dzisiejszym śnie od niej uciekł?

Nie miał pojęcia, nie pamiętał, ale Rakel przyszła domagać się zwrotu połówki swojego serca, nasłuchiwała jego już słabnących uderzeń, dowiedziała się, gdzie on jest, i zadzwoniła do jego drzwi.

Nadciągająca zaciśnięta pięść wreszcie uderzyła. Rzeczywistość.

Już ją stracił.

To wcale nie on uciekł. To ona go wyrzuciła.

Harry z trudem łapał powietrze. Jakiś dźwięk wwierał się w przewody uszne, a on zrozumiał, że ból utkwiał nie tylko w punkcie za oczami: cały mózg zmienił się w jeden wielki ośrodek bólu. Pojął też, że to ten sam dźwięk uruchomił ów sen, tuż przed obudzeniem. Ktoś rzeczywiście dzwonił do drzwi. Idiotyczna, drażniąca, wierna nadzieja znów podniosła głowę.

Nie otwierając oczu, opuścił rękę w stronę podłogi przy rozkładanej kanapie i sięgnął po butelkę whisky. Przewrócił ją, potoczyła się z turkotem po zniszczonym parkiecie. Zorientował się po odgłosie, że jest pusta. Zmusił się do otwarcia oczu. Spojrzał na dłoń wiszącą nad podłogą jak chciwy szpon, na szarą tytanową protezę środkowego palca. Dłoń była zakrwawiona. Cholera. Powąchał palce, usiłując przypomnieć sobie zakończenie wczorajszego dnia. Nie wiedział, czy miało związek z kobietami. Odrzucił koldrę i spojrzął na sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry swojego nagiego chudego ciała. Za mało czasu minęło, odkąd pękł, aby ten fakt pozostawił na nim ślady fizyczne, lecz jeśli wszystko miało zmierzać w tę stronę, co zawsze, to z każdym tygodniem masa mięśniowa będzie coraz bardziej zanikać, a już szarobiała skóra przybierze odcień bliższy barwie prześcieradła. Harry zacznie się zmieniać w ducha, aż w końcu całkiem zniknie. Ale w picu właśnie o to chodzi, prawda?

Z jękiem dźwignął się do pozycji siedzącej. Rozejrzał. Wrócił tam, gdzie był, zanim znów stał się człowiekiem. Tyle że o stopień niżej. Nie wiedział, czy to ironia losu, ale dwupokojowe mieszkanie o powierzch-

ni czterdziestu metrów kwadratowych, z którego najpierw tylko korzystał, a które potem wynajął od młodszego kolegi z pracy, policjanta, znajdowało się piętro niżej od tego, które zajmował, nim zamieszkał z Rakel w jej drewnianej willi na Holmenkollen. Kiedy się tu wprowadził, kupił w Ikei rozkładaną kanapę. Wraz ze stojącym za nią regałem na książki, na którym umieścił swoje winyle, z niskim stolikiem, lustrem wciąż opartym o ścianę i komodą w przedpokoju stanowiła całe umeblowanie mieszkania. Harry nie był pewien, czy to z jego strony przejaw niemożności działania, czy też może raczej starał się przekonać samego siebie, że to jedynie tymczasowe rozwiązanie, że ona, gdy tylko trochę się zastanowi, przyjmie go z powrotem.

Sprawdził, czy musi zwymiotować. No cóż, przypuszczalnie mógł o tym zdecydować sam. Ciało po paru tygodniach jakby zaczynało przyzwyczajając się do trucizny, tolerowało dawki. I domagało się ich zwiększenia. Zapatrzył się w pustą butelkę, która ułożyła się spokojnie między jego stopami. Peter Dawson Special. Nie dlatego, żeby był szczególnie dobry. Dobry był Jim Beam. I rozlewany w czworokątne butelki, które nie turlają się po podłodze. Ale Dawson był wyjątkowo tani, a spragniony alkoholik z policyjną pensją i pustym kontem nie mógł mieć zbyt wielkich wymagań.

Spojrzał na zegarek. Za dziesięć czwarta. Do zamknięcia monopolowego zostały dwie godziny i dziesięć minut.

Odetchnął głęboko i wstał. O mało nie rozsadziło mu głowy. Zachwiał się, ale utrzymał się na nogach. Przejrzał się w lustrze. Był rybą głębinową wyciągniętą na powierzchnię tak szybko, że oczy i trzewia chciały wyskoczyć na wierzch, i tak mocno, że haczyk rozorał mu policzek, pozostawiając sierpowatą, różową bliznę, biegnącą od lewego kąca ust w stronę ucha. Pogrzebał pod kołdrą, ale nie znalazł żadnych bokserek, więc wciągnął na gołe ciało podniesione z podłogi dzinsy i poszedł do przedpokoju. Za mleczną szybą drzwi wejściowych rysowała się ciemna sylwetka. To ona. Wróciła. Ale tak samo myślał również wtedy, gdy poprzednio ktoś dzwonił do drzwi. Okazało się, że to był pracownik firmy Hafslund Strøm, który przyszedł wymienić liczniki na nowoczesne – dzięki nim dawało się zmierzyć zużycie prądu co do godziny i najmniejszego wata. Wyjaśnił, że wszyscy ich klienci już takie mają i sami mogą sprawdzić, o której włączyli kuchenkę i kiedy ostatnio gasili lampkę do czytania. Harry

oświadczył, że nie ma kuchenki, a nawet gdyby miał, to nie chciałby, aby ktokolwiek wiedział, kiedy jej używa. I zamknął tamtemu drzwi przed nosem.

Ale teraz widział za szybą sylwetkę kobiety. Kobiety jej wzrostu, z jej figurą. Jak zdołała wejść na klatkę?

Otworzył.

Były dwie. Kobieta, której nigdy wcześniej nie widział, i dziewczynka tak mała, że nie sięgała do szyby w drzwiach. Gdy zobaczył podsuswaną przez dziewczynkę puszkę na pieniądze, zrozumiał, że musiały zadzwonić domofonem do kogoś z sąsiadów, żeby je wpuścił.

– Kwestujemy – wyjaśniła kobieta. Obie nosiły założone na kurtki pomarańczowe kamizelki z symbolem Czerwonego Krzyża.

– Myślałem, że ta kwesta odbywa się jesienią – zauważył Harry.

Kobieta i dziewczynka patrzyły na niego w milczeniu. Początkowo odczytał to jako wrogość, jakby oskarżył je o oszustwo. Dopiero później zrozumiał, że to pogarda, przypuszczalnie dlatego, że był półnagi i śmierdział alkoholem, w dodatku o czwartej po południu, a poza wszystkim nieświadomy tej przypuszczalnie przeprowadzanej w całym kraju, transmitowanej w telewizji kwesty.

Sprawdził, czy czuje wstyd. Owszem. Trochę. Wsunął rękę do kieszeni spodni, gdzie zwykle trzymał gotówkę, kiedy szedł pić, bo z doświadczenia wiedział, że niewskazane jest zabieranie ze sobą karty. Uśmiechnął się do dziewczynki, która wielkimi oczami wpatrywała się w jego zakrwawioną rękę, gdy wsuwał złożony banknot do otworu zaplombowanej puszkę. W momencie gdy banknot zniknął, mignęły mu przed oczami wąsy. Wąsy Edvarda Muncha.

– O cholera! – jęknął i znów włożył rękę do kieszeni. Pusta. Tak jak jego konto.

– Słucham? – odezwała się kobieta.

– Myślałem, że to dwie stowy, ale dałem wam Muncha. Czyli tysiąc koron.

– Ojej.

– Czy mogę... dostać je z powrotem?

Dziewczynka i kobieta nie przestawały się w niego wpatrywać. Mała ostrożnie podniosła puszkę nieco wyżej, aby mógł lepiej widzieć plastikową plombę nad logo organizowanej akcji.

– Rozumiem – powiedział Harry. – A może wydacie resztę?

Kobieta uśmiechnęła się, jakby zdobył się na dowcip, a on prędko odpowiedział jej tym samym, chcąc ją zapewnić, że miała rację, podczas gdy mózg desperacko szukał rozwiązania problemu. Dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć koron i dziewięćdziesiąt øre do godziny szóstej. Ewentualnie sto sześćdziesiąt dziewięć dziewięćdziesiąt za małą butelkę.

– Może się pan pocieszyć tym, że te pieniądze są przeznaczone dla potrzebujących – rzuciła kobieta na odchodne, ciągnąc dziewczynkę za sobą w stronę schodów i następnego mieszkania.

Harry zamknął drzwi, poszedł do kuchni i zmył krew z ręki. Poczul piekący ból. Po przejściu do pokoju rozejrzał się i zauważył, że na poszwie koldry odcisnęła się zakrwawiona dłoń. Na czworakach wydobyl komórkę spod kanapy. Żadnych SMS-ów. Jedynie trzy nieodebrane połączenia z wczorajszego wieczoru. Jedno od Bjørna Holma, technika kryminalistycznego rodem z Toten, i dwa od Alexandry z Instytutu Medycyny Sądowej. Alexandra i Harry zawarli intymną znajomość dopiero całkiem niedawno, po wyrzuceniu go przez Rakel, lecz sądząc po tym, co wiedział – i pamiętał – na jej temat, Alexandra nie zaliczała się do kobiet, dla których menstruacja może stanowić przyczynę odwołania spotkania. Pierwszej nocy, kiedy pomogła mu wrócić do domu i gdy oboje bez powodzenia przetrząsnęli jego kieszenie w poszukiwaniu kluczy, niepokojąco szybko i skutecznie otworzyła zamek wytrychem, a potem ułożyła jego – i samą siebie – na kanapie. Kiedy się obudził, już jej nie było. Została tylko kartka z podziękowaniem za wykonane usługi. Więc to oczywiście mogła być jej krew.

Harry zamknął oczy, próbując się skoncentrować. Chronologię zdarzeń w ostatnich tygodniach mógł określić, łagodnie mówiąc, jako niejasną, lecz jeśli chodziło o wczorajszy wieczór i noc, to pamięć była wyczyszczona. Kompletnie wyczyszczona. Otworzył oczy, przyjrzał się piekającej prawej dłoni. Trzy zakrwawione kostki, zdarta skóra z zakrzepłą krwią przy brzegach ranek. Musiał kogoś uderzyć. Trzy kostki oznaczały kilka ciosów. Teraz odkrył również krew na spodniach. Za dużo, by mogła pochodzić z samych knykci. I już na pewno nie była to krew menstruacyjna.

Ściągnął poszwę z koldry, jednocześnie oddzwaniając na nieodebrane połączenie od Bjørna Holma. Kiedy usłyszał burczenie na drugim końcu, wiedział, że gdzieś rozbrzmiewa teraz dzwonek w postaci

piosenki Hanka Williamsa, opowiadającej, jak twierdził Bjørn, o techniku kryminalistycznym, takim jak on sam.

– No i co tam? Jak się masz? – rozległ się dobroduszny dialekt Bjørna.

– Zależy, jak na to spojrzeć. – Harry wszedł do łazienki. – Możesz mi pożyczyć trzy stowy?

– Jest niedziela, Harry. Monopolowy zamknięty.

– Niedziela? – Harry wyszedł ze spodni i razem z poszwą wepchnął je do przepelnionego kosza na brudną bieliznę. – Niech to szlag.

– Coś jeszcze?

– Widzę, że dzwoniłeś do mnie koło dziewiątej.

– Tak, ale nie odebrałeś.

– Bo najwyraźniej telefon ostatnią dobę przeleżał pod kanapą. Siedziałem w Jealousy.

– Tak też pomyślałem. Dlatego zadzwoniłem do Øysteina, a on potwierdził, że jesteś.

– I?

– I pojechałem tam. Naprawdę nic nie pamiętasz?

– Jasna cholera. Co się stało?

Harry usłyszał westchnienie Bjørna i wyobraził sobie, jak kolega przewraca lekko wylupiastymi rybimi oczami w okrągłej jak księżyc w pełni bladej twarzy, obramowanej kaszkietem oraz największymi i najbardziej rudymi w całym Budynku Policji bokobrodami.

– Co chcesz wiedzieć?

– Tylko to, co twoim zdaniem powinienem – odparł Harry, jednocześnie odkrywając coś w koszu na brudną bieliznę. Spomiędzy nieswieżych bokserów i T-shirtów sterczała szyjka butelki. Natychmiast po nią sięgnął. Jim Beam. Pusta. A może? Odkręcił korek, przyłożył szyjkę do ust i odchylił głowę.

– Okej. Oto skrócony raport – zaczął Bjørn. – Kiedy przyszedłem do baru Jealousy o dwudziestej pierwszej piętnaście, byłeś pijany. A kiedy cię odwoziłem do domu o dwudziestej drugiej trzydzieści, mówiłeś wyłącznie o jednym. O jednej osobie. Możesz zgadywać o kim.

Harry nie odpowiedział; potrząsnął butelką, obserwując kroplę spływającą po wewnętrznej ścianie.

– O Rakel – uzupełnił Bjørn. – W samochodzie całkiem odjechałeś, ale udało mi się doprowadzić cię do mieszkania, i tyle.

Po postęпах kropli Harry zorientował się, że ma sporo czasu, więc odsunął butelkę od ust.

– Mhm. Nic więcej?

– To wersja skrócona.

– Pobiliśmy się?

– Ty i ja?

– Z takiego nacisku na „ja” wynika, że w każdym razie ja się biłem.

Z kim?

– Nowy właściciel Jealousy zaliczył przynajmniej raz.

– Raz? Obudziłem się z trzema zakrwawionymi knykциями i mam jeszcze krew na spodniach.

– Pierwszym ciosem trafiłeś go w nos, krew aż trysnęła. Ale za drugim razem się uchylił, a ty wcelowałeś w ścianę. I to nie tylko jednym uderzeniem. Przypuszczam, że na murze ciągle są ślady twojej krwi.

– Ringdal nie chciał mi oddać?

– Prawdę powiedziawszy, byłeś tak nachlany, że nie miałeś mocy obrażania kogokolwiek. We dwóch z Øysteinem jakoś cię powstrzymaliśmy, zanim zrobiłeś sobie większą krzywdę.

– Cholera, nic z tego nie pamiętam.

– Na jeden cios ten Ringdal zasłużył. Puścił całą *White Ladder* raz i szykował się do drugiej rundy. Zacząłeś na niego wrzeszczeć, że zepsuł dobrą opinię baru, którą w twoim przekonaniu zbudowaliście wy, to znaczy ty, Øystein i Raket.

– Bo to prawda! Ten bar był kopalnią złota, Bjørn. On go przejął za grosze, a ja postawiłem tylko jeden warunek: że się obroni przed gównem. Że będzie puszczał porządną muzykę.

– Twoją muzykę?

– Na s z a, Bjørn. Twoją, moją, Øysteina, Mehmeta... A nie jakiegoś pieprzonego Davida Graya!

– Powinieneś może zdefiniować... O rany, mały płacze, Harry!

– Aha, przepraszam. I dziękuję. No i przepraszam za wczoraj. Cholera, mówię jak jakiś klaun. Kończmy. Pozdrów Katrine.

– Jest w pracy.

Rozłączyli się. W tym samym momencie, niczym w przebłysku światła, Harry’emu mignęło coś przed oczami. Stało się to tak prędko, że nie zdążył dojrzeć, co to było, ale serce nagle zakołatało mu tak mocno, że z trudem łapał oddech.

Spojrzał na butelkę, którą wciąż trzymał w górze. Kropla spłynęła. Popatrzył w dół. Na białym brudnym kafelku widać było brązową plamkę.

Westchnął. Nagi osunął się na podłogę, poczuł zimne płytki pod kolanami. Wystawił język, wziął głęboki oddech i nachylił się, czołem dotykając posadzki jak do modlitwy.